

Wstęp

Zarówno miejsce akcji – miasteczko Redfern – jak i plemię Nehalem oraz grupa Saliszów, do której należało owo plemię, zostały wymyślone na potrzeby tej historii i nie mają nic wspólnego z rzeczywistymi wydarzeniami z lat 1876-1877 (Wojna o Black Hills, zwana również Kampanią Little Big Horse). Legendy powstały z luźnych interpretacji prawdziwych podań o indiańskich duchach, nawiedzających amerykańskie ziemie.

PROLOG

Babcia zawsze powtarzała, żebym nie wierzył w to, co opowiadają ludzie o naszym miasteczku. Połowa mieszkańców piła, druga ćpała i nawet jeśli którakolwiek z tych opowieści była w jakimś stopniu prawdziwa, to rzeczywistość mieszała się w nich z etanolem lub krakiem. Nawet Stary Joe miał przez to nie po kolei w głowie, a przecież niemal wszyscy uważali go za rozsądnego człowieka.

Gdybym rozmawiał częściej z babcią, może opowiedziałyby mi o ludziach cieniach i żywych domach. Być może nie musiałbym odkrywać tej części przypadłości naszej rodziny samodzielnie; byłbym przygotowany na wszystko, co spotkało mnie tamtej jesieni. Być może nigdy bym nie pojechał z Brandonem i znajomymi na wycieczkę. Nie udawałbym, że to, co powiedział Stary Joe, nigdy nie wywarło na mnie wrażenia.

Być może dalej bym żył.

ROZDZIAŁ 3

Eliot po raz kolejny gwałtownie przewrócił się z boku na bok. Czoło pokryła warstwa potu, oddech przyspieszył niebezpiecznie. Zaciskał dłonie na zapoconej pościeli. Z ust mężczyzny wyrwał się spazmatyczny jęk.

Biegł, ile miał sił w nogach. Uciekał, choć sam do końca nie wiedział przed czym. Przerażliwe szepty kazały mu się schować. Tylko gdzie? Korytarz ciągnął się przez wiele kilometrów, a po drzwiach nie było nawet śladu!

Czuł na plecach mrozący krew w żyłach wzrok. Bał się spojrzeć przez ramię. Nie wiedział, co za czort się go uczeplił, kiedy jednak tylko myślał o tym, by to sprawdzić, coś ciężkiego osiadało na jego barkach.

Mocne pchnięcie nadeszło z prawej strony. Nie spodziewał się tego – jego ramienia dotknęły oślizgłe macki. Krzyknął przeraźliwie. Stanął w przejściu. Jego klatka piersiowa falowała przy każdym wdechu. Eliot próbował opanować emocje, zdusić adrenalinę kotłującą się w żyłach. Przełknął ślinę; długi bieg sprawił, że zaschło mu w ustach.

Rozejrzał się, mrużąc oczy. Ciemność przełamywała mdła łuna światła zza brudnego, wysokiego okna. Powoli jego wzrok przyzwyczajał się do panującego mroku. Pomieszczenie nabierało kształtów, choć Eliot miał wrażenie, że wciąż było lekko zakrzywione. Zrobił krok, drugi. Szurał podeszwami butów po zakurzonej podłodze. Gruz pod stopami wydawał nieprzyjemny dźwięk, gdy turlał się po drewnianych deskach.

Zatrzymał się w połowie drogi. Zmarszczył brwi. Wydawało mu się, że coś ogromnego leżało pod przeciwną ścianą. Próbował dostrzec, czym jest ten kształt.

Musiał mieć przywidzenia. Człowiek? Tak, najwidoczniej to człowiek. Poruszył ramionami i unióśł nieznacznie głowę. Białka odcinały się wyraziście na tle ciemności.

– Nie żyją – szepnęła postać, choć Eliotowi wydawało się, że ten dźwięk rozszedł się echem po wysokim sklepieniu.

– Co?

Eliot odwrócił się gwałtownie. Żołądek podjechał mu do przełyku, lecz za plecami nie zastał nikogo. Woń rozkładu uderzyła w jego nozdrza. Stęchlizna i zapach pleśni mieszały się nieprzyjemnie z charakterystycznym zgniłym filmem. Kurz szczypał w oczy, nie miał jednak odwagi sięgnąć do nich ręką, by je przetrzeć.

– Wszyscy nie żyją.

Zrobił kolejny obrót. Nie panował już nad oddechem. Ciepły obłoczek wydobył się z jego ust. Nagle zrobiło się niesamowicie zimno; jego kark owiał chłód. Eliot zadrzał – kolejny lodowaty podmuch niemal wżarł mu się w kości.

– NIE ŻYJĄ!

Eliot zerwał się do pozycji siedzącej, wyrwany z koszmaru przez dźwięk wibrującej komórki. Mokre włosy przykleiły się do jego czoła, tak samo jak koszulka do pleców. Serce waliło szaleńczo, oddech rwał się spazmatycznie, a suchość w przełyku drażniła niemilosiernie.

Sięgnął po urządzenie. Rozwarł oczy szeroko, widząc swoją drżącą dłoń. Nie zastanawiając się nad tym dłużej, odebrał połączenie.

– Mercer – odezwał się ktoś po drugiej stronie. – Obudziłem cię?

Eliot spojrzał na zegarek. Trzecia trzydzieści.

– Absolutnie – mruknął wciąż zachrypniętym głosem. Odchrząknął, chciał pozbyć się tego nieprzyjemnego uczucia drapania. – Co tam się urodziło, Mike?

– Gruba sprawa. – Mike sapnął do słuchawki. Oczami wyobraźni Eliot widział, jak przełożony poprawia się na fotelu. – Twoja ostatnia szansa.

Mercer zacisnął usta w wąską linię. Który już raz Hardy mówił, że to jego ostatnia szansa? Ile jeszcze będzie ich miał? Jedyne, czego chciał, to świętego spokoju, szczególnie tego poranka. Kac już pukał w zroszone potem skronie. Najchętniej położyłby się z powrotem spać.

Zamiast tego odrzucił kołdrę na bok i ruszył do kuchni.

– No dawaj – powiedział, zduszając w sobie frustrację i ponure myśli. Włączył światło i rozejrzał się po ciasnej przestrzeni. Pusta butelka po burbonie łypała złowrogo w jego stronę.

– Dziesięć ciał w środku lasu – kontynuował Mike. Fotel, na którym siedział, zaskrzypiał w tle. – Żadnych świadków, nikt nie wie, co się stało. Studenciki z kempingu zadzwoniły po naszych, bo usłyszeli wrzaski.

– Ciekawe.

Nie żyją.

Złośliwy głosik w głowie mężczyzny przypomniał mu o śnie. Pokręcił głową, chciał odpędzić od siebie nieprzyjemne wspomnienie.

– A jakże. Weź to.

– Chyba żartujesz. – Eliot wyciągnął szklankę z szafki i nalał do niej wody z kranu. – Mike, od mojej ostatniej sprawy minęło naprawdę dużo czasu. Poza tym...

– Wiem i jak nie wrócisz do tego, to będę musiał cię wylać albo zdegradować do patrolowania ulic. – Zaległa wymowna cisza. Eliot zacisnął mocno palce na szkle. – To naprawdę ostatnia szansa, detektywie Mercer.

Eliot westchnął przeciągle. Rozejrzał się po zabałaganionym blacie, jakby szukał odpowiedzi, nie znalazł jednak nic więcej, oprócz kilku brudnych talerzy i pudełek po lasagne i pizzy. Cisza po drugiej stronie połączenia zaczynała mu ciążyć.

– Wyślij adres.

Rozłączył się, zanim Mike dodał coś więcej. Wolał nie kusić losu. Jeszcze chwila, a powiedziała, że ma to gdzieś. Przecież nie mógł tego zrobić. Obiecał Alice, że odnajdzie jej mordercę; do tego potrzebował odpowiednich narzędzi i czasu.

Niestety stał w miejscu.

Zatracił się w tym, od pięciu lat nie zrobił żadnego postępu. Całymi dniami przesiadywał w biurze i wpatrywał się w ścianę z poszlakami. Dobiegł do muru, którego nie był w stanie przebić w żaden sposób. Przynajmniej nie teraz.

Spojrzał raz jeszcze na pustą flaszkę. Alkohol przyćmiewał jasność umysłu, dlatego tak źle mu szło. Nie mógł odpuścić. Tymczasem rozpacz wciąż rozrywała jego serce. Nie zasnąłby, gdyby się nie napił. Mimo to znów dręczyły go koszmary. Widocznie uchłął się za słabo.

Oparł dłonie o blat. Spojrzał na krajobraz za oknem. Ulicę oświetlała zardzewiała latarnia. Pęknięcia w jezdni odcinały się wyraźnie od mokrej nawierzchni. Ta błyszcząca wściekle, niemal oślepiła Eliota, dlatego szukał czegoś mniej krzyczącego. Niefortunnie skupił spojrzenie na czarnych niczym otchłań rysach. Im dłużej na nie patrzył, tym bardziej się poruszały, gotowały, wiły jak wściekle węże w pułapce, by po chwili wylać się niczym posoka.

Jak ta z pękniętej czaszki Alice, kiedy ją znalazł.

Wyprostował się, klnąc pod nosem siarczyście. Zaczął nerwowo kręcić się po kuchni i zbierać puste opakowania i butelki. Musiał skończyć z tym gównem. Frank powtarzał mu to od dawna, a on, zamiast posłuchać przyjaciela, brnął w to mocniej. Byleby uciszyć ból.

W samym Redfern niewiele się działo, tym bardziej na przedmieściach wiało nudą. Eliot wolał zostać w centrum, jednak Alice się uparła, by przenieść się w spokojniejsze miejsce. Gdyby mógł, cofnąłby czas i zdecydował się na ten ruch dużo wcześniej. Być może wtedy uniknęłaby śmierci.

Komórka znów zawibrowała. Eliot spojrział na jasny wyświetlacz. Mógł to zignorować, powiedzieć, że zasnął, nie słyszał powiadomienia. Ból uciskał skronie coraz bardziej, niósł się dalej, obejmował oczodoły i potylicę w zastraszającym tempie. Kusił, obiecywał, że jeśli Eliot się położy z powrotem do łóżka, odpuści i nie wróci rano.

Detektyw sięgnął do szuflady, wyjął leki przeciwbólowe i łyknął jedną tabletkę. Od miejsca zdarzenia dzieliło go czterdzieści minut jazdy, tak przynajmniej zakładał. Opuszczonych posiadłości wokół Redfern było sporo, ale tylko kilka znajdowało się nie daleko pola kempingowego.

Redfern jak na miasto średniej wielkości posiadało całkiem spory odsetek morderstw. Zgłoszenia o zabójstwach, samobójstwach i niewyjaśnionych zniknięciach były na porządku dziennym. Nikogo nie dziwiły, nie wywoływały sensacji. Odcięte od świata szeroką połącią lasu z jednej strony i górami z drugiej niemal błagało o kłopoty, niesnaski i nieporozumienia. Młodzi wyjeżdżali, gdy tylko dostawali taką możliwość. Wielu nie wracało albo robiło to niechętnie. Starsi włóczyli się po ulicach z braku lepszych zajęć, choć miasto oferowało cały wachlarz aktywności. Woleli snuć opowieści o dawnych czasach, mieszać historię z legendami i częstować nimi przejezdnych, którzy zatrzymywali się w Redfern przed dotarciem do rezerwatu na północy.

Tak, Redfern nie było przyjaznym miejscem. Widma przeszłości wisiały nad miastem niczym ciemny, ciężki płaszcz. Rozciągała się nad nim złowroga aura, a legendy o duchach i demonach skutecznie odstraszały obcych. Niektórzy przypisywali zniknięcia właśnie tym legendom, jednak Eliot – pracując w policji – doskonale wiedział, że to ludzie z krwi i kości dokonywali wszystkich złych uczynków.

Zanim dojechał na miejsce, niebo zaczęło przybierać szarawą barwę. Droga przez las coraz mniej straszyla wszechogarniającym mrokiem, poruszone wiatrem gałązki przestały przyprawiać detektywa o nieprzyjemne dreszcze. Eliot nie był do końca pewny, czy to pokłosie koszmaru, którego doświadczył, czy zaczynał mieć halucynacje ze zmęczenia.

Przecież nie wierzył w te głupie bajki o nieszczęśliwych duszach indiańskich plemion, które zamieszkiwały niegdyś tereny Redfern. A mimo to miał wrażenie, że między omszałymi konarami drzew kryły się cienie o ludzkich kształtach. Łypały na niego złowrogo pustymi, wypranymi z emocji oczami. Pokazywały ostre zęby, szczyrzyły się złośliwie, jakby czekały tylko, aż straci czujność.

Eliot docisnął pedał gazu. Samochód szarpnął do przodu, wzbijając przy tym tumany kurzu. Spojrzał w lusterko wsteczne na pustą drogę. Westchnął z ulgą, po czym pokręcił głową z niedowierzaniem. Jak mógł w ogóle wpędzić się w zakamarki takich myśli?

Odbił w wąską ścieżkę między świerkami. Żółte i brązowe liście krzewów wyraźnie odcinały się na tle ciemnozielonego lasu. Eliot uchylił lekko okno i zaciągnął się zapachem. Woń lata powoli ustępowała cięższym, wilgotnym jesiennym akcentom. Rosa nie była już taka orzeźwiająca, ciężko osiadała na podstarzałej ściółce, wydobywała ziemisty zapach spod wijących się korzeni i połamanych gałęzi.

Eliot dostrzegł w oddali migające światła policyjnego radiowozu. Niebieskie i czerwone smugi odbijały się na przemian od mokrej kory. Wyjechał spomiędzy gęstwiny. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to grupka gapiów z pobliskiego kempingu. Część wciąż miała na sobie kilka warstw ubrań, jakby zostali wyrwani ze spokojnego snu. Żółto-czarna taśma wyznaczała miejsce, do którego

mogli podejść, choć Eliot zastanawiał się, co takiego zdołaliby zobaczyć z tej odległości.

Brnął dalej między policyjne samochody. Kiwał głową do rozdawionych w równych odstępach funkcjonariuszy. Połowę znał tylko z widzenia, drugą kojarzył, ale nie był w stanie przypomnieć sobie ich imion. Minęło sporo lat, odkąd pracował w drogówce.

Zatrzymał pojazd niedaleko ścieżki po drugiej stronie pola namiotowego. Wsiadł i owinął się szczelniej prochowcem. Rześkie powietrze wdarło się pod połę płaszcza, sprawiając, że jego ciało pokryła gęsia skórka. Mimo że lato wciąż hulało w najlepsze, poranki były zdecydowanie chłodniejsze niż w sierpniu.

Mercer wyciągnął odznakę z wewnętrznej kieszeni. Okazał ją policjantowi stojącemu przy wjeździe, zanim ten o nią poprosił. Poszedł w głąb gęstego boru, gdzie zapach iglaków stał się intensywniejszy. Eliot zmarszczył nos. Woń przeplatała się z czymś jeszcze, czymś słodko-gorzkiem, co całkowicie nie pasowało do wysokich świerków i sosen.

Minął samochód techników i służbowy pojazd detektywa naczelnego miasta Redfern. Rozejrzał się dookoła. Posesję od reszty lasu odgradzał wysoki, popękany mur. Bluszcz wił się dziko na całej długości, tylko gdzieś tam prześwitywał odpryśnięty tynk i czerwone cegłówki. Eliot miał ochotę gwizdnąć z podziwu. Właściciele musieli postawić ogrodzenie bardzo dawno temu, już od dekad nie budowano takich fortec jak ta.

Dom przyprawiał o dreszcze. Masywna budowla chyliła się nieznacznie do przodu, jakby miała za chwilę się wyrwać. Okiennice wisiały smutno na pojedynczych zawiasach; wystarczyłby silniejszy podmuch wiatru i pozbawiłby posesji misternie zdobionych ozdób. Natura zrobiła z nim, co chciała. Mech, bluszcz i krzewy śmiało porastały ściany, wżerały się między deski i pęknięcia. Wszystko skrzypiało, ostrzegało, że jeden zły ruch i konstrukcja lada chwila się zawali.

Cóż – pomyślał Eliot – tym dzieciakom chyba to nie przeszkadzało.

Mrowie ludzi w kombinezonach, kaftanach i ochraniaczach na butach uwijało się przy zbieraniu dowodów. Detektyw Gregory Stanford stał przy balustradzie u wzniesienia schodów i rozmawiał z jednym z techników. Odwrócił głowę w stronę Eliota, kiedy zaskrzypiał pierwszy schodek.

– Mercer! – Uśmiechnął się szeroko na widok przyjaciela. – W końcu jesteś.

– Jakżeby inaczej. – Eliot podał mu rękę.

Greg sięgnął do kieszeni płaszczu i wyciągnął paczkę fajek.

– Chcesz?

– Nie palę od pięciu lat – odparł Mercer. Przyjaciel wzruszył jedynie ramionami i wpakował filtr papierosa do ust. Eliot spojrzał na wejście do domu. – Co tam się wydarzyło?

– Krew i flaki. – Greg wypuścił spomiędzy warg kłęb szarego dymu. – Jeśli nie zaatakowała ich puma, to nie wiem. Może duchy?

Eliot uniósł brew.

– Serio, Stanford?

– Nie mam pojęcia. Wiesz, że to miasto jest nafaszerowane złą energią. – Greg zgniótł peta o szary filar. Ruchem ręki zachęcił Eliota do wejścia do środka. Przeszli przez wysokie dwuskrzydłowe drzwi w rzeźbione, finezyjne wzory. Musieli uważać na kable pociągnięte przez całą długość korytarza. Światło lamp halogenowych oświetlało każdy zakamarek dawnej kuchni i salonu leżącego po przeciwległej stronie.

Eliot stanął jak wryty, gdy dostrzegł obszerny rozbryzg szkarłatnej posoki na ścianie. Świeża, wciąż robiła zacieki i zbierała się w ogromną kałużę na posadzce. Mercer przełknął głośno ślinę. Niemiłosiernie drapało go w gardle, niemal w jednej chwili wyschło na wiór. Wymarł spocone ręce w kłapy płaszczu, po czym ruszył przed siebie, choć całe jego ciało krzyczało, by odwrócić się na pięcie i odszedł stąd jak najdalej.

Detektyw Mercer przyrywał powieki za każdym razem, kiedy błyskał flesz aparatu. Wciąż nie dowierzał. Przecierał oczy w szoku, zastanawiał się, czy to przypadkiem nie był kolejny koszmar. Poczucie odrealnienia i déjà vu przeszło go na wskroś. Woń wilgoci i stęchlizny ponownie wżarła się w jego nozdrza. Odpędził wspomnienie kosmaru, a przynajmniej się starał, choć wszystko wskazywało na to, że właśnie ten pokój śnił się Eliotowi.

Część ciał spoczywała w czarnych workach. Reszta czekała na swoją kolej, aż technicy wykonają pracę. Mercer właściwie nie wiedział, co sądzić. Wyglądało to na atak zwierzęcia lub kilku, bo jedno nie byłoby w stanie rozszarpać dziewięciu osób naraz. Ostatnia śmierć nie pasowała do całego makabrycznego obrazka.

Młody chłopak wisiał na prześcieradle w rogu pokoju. Strużka krwi spływała z rozwartych, spierzchniętych ust, a napuchnięte język i wargi wydawały się niemal rybie. Zaszklone gałki wylazły z oczodołów. Eliot czuł przerażenie chłopaka. Wyzierało z każdego kawałka sonej skóry. Zjechał spojrzeniem niżej, na ubranie przyklejone do młodego ciała. Nasiąknięte posoką do granic możliwości pozbywało się nadmiaru soczystymi kroplami. Odbijały się echem od sklepienia czaszki Eliota, wżerały się w podświadomość bez litości.

Kap. Kap. Kap.

– Co tu się... – wyjąkał, wodząc spojrzeniem po makabrycznym obrazku.

– Przeróżające, co? – Stanford podał mu rękawiczki. Również takie założył. – Tony Murray, lat dwadzieścia jeden. Przyjechał na przerwę międzysemestralną z Waszyngtonu. – Wskazał czarny worek z oznaczeniem numer jeden. – To prawdopodobnie jego starszy brat, Brandon. Taka sama sytuacja. Elisabeth Andrews, Emery Macallen, Victoria Crowley, Michael Crowley, Luc Montgomery – wskazywał kolejne worki i ciała palcem – Dominic Santiago, Paul Santiago i Josh Kingsley. Nie jestem pewny, czy w takiej kolejności. Bez sekcji trudno stwierdzić, kto jest kim. Dobrze, że

mieli przy sobie legitymacje. Jak do tego dojdziemy, który to który, to powiadomimy bliskich.

– Ja pierdole – sapnął Eliot. Zachwiał się, jednak Greg złapał go pod ramię i pomógł utrzymać równowagę. Mercer już dawno nie widział takiej rzezi. Ba! W całej swojej karierze czegoś takiego nie oglądał!

– Żebyś wiedział. – Stanford wyciągnął notatnik z kieszeni, przekartkował go, po czym przeleciał wzrokiem po zapisanej stronie. – Według świadków nikogo oprócz nich tam nie było. Nikt też nie wchodził do tego domu. Bali się.

– Czyli co? Dostałem sprawę wściekłego niedźwiedzia? – Eliot podrapał się po karku.

– Technicy mówią, że to ten dzieciak. – Wskazał głową na wisielca. – Na pierwszy rzut oka rany wyglądają na szarpane przez ludzkie palce, ale nie jestem do końca pewny, czy zrobiłby to samodzielnie.

– Greg, o czym ty do mnie mówisz? Chyba nie zamierzasz mi wcisnąć historii o wściekłych duchach lasu?

– Nie zamierzam! – Stanford uniół ręce. – Ale to miejsce jest przesiąknięte złą energią, już wspominałem. Nie będę igrał z siłami wyższymi.

Eliot zlustrował go od góry do dołu zde gustowanym spojrzeniem. Nie był w stanie zrozumieć, jak dorosły facet, pracujący na tak poważnym stanowisku, może wierzyć w zjawiska nadprzyrodzone i na tej podstawie decydować o tym, czy weźmie jakąś sprawę, czy nie. Niedorzeczne. Totalny idiotyzm.

No debil.

Mercer od dawna nie wierzył w bajki i legendy, które opowiadali dziadkowie, gdy był dzieckiem. Dorósł. Zrozumiał, że służyły jedynie do straszenia i skutecznie powstrzymywały małego Eliota od kręcenia się po pobliskich lasach. Owszem, były niebezpieczne, ale nie dlatego, że grasowały w nich zjawy i udręczone dusze. Dookoła Redfern znajdowało się kilka opuszczonych kopalni i wystarczył jeden niefortunny krok, by wpaść w nieoznakowany szyb i zakończyć swój żywot.